



Nr. 22.

PILNYCH DZIECI

Rok VI.

Towarzysz wychodzi co dwa tygodnie pod redakcją *Władysława Belzy*. — Adres redakcyi ul. Halicka Nr. 54. Adres administracyi i ekspedycyi w Księgarni *P. H. Richtera* w hotelu europejskim. — Cena *Towarzysza* w miejscu wynosi 1 złr. kwartalnie, z przesyłką pocztową 1 złr. 20 ct. — Dla wszystkich szkół ludowych w Galicyi, tudzież dla całego Szląska prenumerata roczna *Towarzysza* zniżoną została na 2 złr. 80 ct. — Manuskryptów redakcyi nie zwraca. — Reklamacye uwzględniają się tylko do dwóch tygodni od wyjścia numeru.

TYDZIEŃ GRZECZNEJ DZIEWCZYŃKI.

(Z FRANCUSKIEGO).

W S T Ę P.

Mam zamiar opisać wam tu kochane dziatki tydzień pewnej dziewczynki. — Nie zacznę jednak opowiadania mego w taki sposób np.: była to dziewczynka bardzo ładna i bardzo mądra. Nie.

Wandzia, z którą chcę was zapoznać, nie jest piękną i pomimo swego dobrego charakteru, musi wiele starań dokładać, aby się z pewnych błędów poprawić, a przede wszystkim z lenistwa.

Wandzia Z. miała lat dziesięć. Dotąd żyła jak inne dziewczynki, nie wiele znając życia. Zajmowały ją tylko lalki, przysmaczki, a pamiętała zaledwie wigilię Bożego Narodzenia, dzień Nowego Roku, lub imieniny kogoś z rodziny, bo w te dni pieszczoty rodziców zdają się być jeszcze słodsze.

Jak wiele między wami, nauczyła się i Wandzia czytać, sama nie wiedząc jak i kiedy. Dni upływały jej na przechadzkach, na zabawach nieustannych; ale wszystko musi mieć koniec nareszcie.

Pewnego poranku, w miesiącu styczniu, weszła Wandzia do pokoju swej mamy, trzy-

mając książkę w ręku, na którą jednak spojrzeć nie zdawała się być wcale usposobioną.

— Moja mamusiu — rzekła ze zwykłą swą lekkomyślnością — jak też dobrze bawiłam się wczoraj w tę ciuciubabkę! Chciałabym, żeby znowu była Niedziela, by się z moimi kuzynkami dobrze zabawić. O jaki też to nudny ten poniedziałek! Nigdy tego dnia lubić nie będę; nawet gdy dorosnę, zachowam do niego urazę. Przynajmniej, gdyby było pięknie, wyszłybyśmy na przechadzkę; ale patrz, jak śnieg pada, zimno okropne. Czy pójdziesz mamu na bal dzisiaj?

— Nie Wandziu, cały ten tydzień pragnę tobie poświęcić, starać się będę wpoić w ciebie zamiłowanie do pracy. Delikatność twojego zdrowia nie pozwalała mi znać tej radości, jakiej doznają matki, ucząc swe pierworodne dziatki. Widziałam cię zawsze cierpiącą, dzień i noc byłam przy tobie, znosiłam z miłością wszelkie twoje kaprysy, tak obawiałam się stracić cię, moje dziecko! Ale dziś masz lat dziesięć, zdrowie twoje jak najlepsze, a przecież Wandziu moja, nie spodziewam żadnej zmiany w tobie. Posłuchaj

mię moje dziecko, mam ci wiele rzeczy do powiedzenia: Wczoraj byłam u pani K. Jadwisia, córka jej z kilkoma przyjaciółkami swemi były w przyległym pokoju; był to dzień wolny od nauk. Jakże sądzisz, czas ten spędzały? Nigdy nie zgadłabyś tego: Jadwisia czytała a inne zajmowały się robotą. — Małe przyjaciółki zaczęły potem rozmawiać: robiły przegląd swoich znajomych rówieśniczek. Przyszła kolej na ciebie, moja Wandziu: „Co do tej, mówiła Jadwisia, ma ona dobre serce, ale to leniuszek, nigdy nie robić nie będzie. Doprawdy, smutną rolę w świecie odgrywać będzie, bez nauki i prawie brzydka“.

— Brzydka! — zawołała Wandzia uniesiona. — Jadwisia śmiała to mówić?

I mała dziewczynka zaczęła płakać.

— Co ci to — zapytała pani Z. — czy przypadkiem nie sądzisz się być ładną?

— Tak myślę mamó, a jeżeli nie jestem taką, to mię bardzo martwi. Przecież mówił mi to nieraz; droga mamó, powiedz że mi i ty, że jestem ładną; ja tak chciałabym być do ciebie podobną.

Byłoby łatwo pani Z. pochlebić próżności swej córki, gdyż w tej chwili twarzyczka Wandzi wypiękniała wyrazem wdzięku dziecięcego, który zawsze oczy matki zachwyca. Ale, oprócz tego, że piękność nie była wcale udziałem Wandzi, pani Z. pojęła w tej chwili, że trzeba się spieszyć przytłumić zarodek próżności w małej dziewczynce.

— Moje dziecko, jest mi niepodobnem zrobić ci tę przyjemność, gdyż ja także jestem zdania Jadwisi. Ale powiedz mi, jaką cenę możesz przywiązywać do piękności? Czy nie kocham cię tak, jak pani K. Jadwisie? Czy nie jesteś przedmiotem wszystkich moich myśli? Co mi to szkodzi, że oczy twe są mniejsze niż twej przyjaciółki, jeżeli w nich widzę wyraz twej czułości? Co mi szkodzi twe wielkie usta, jeżeli nigdy nie kłamią? Daleka od martwienia się tem, że nie jesteś ładną, czasem się z tego cieszyłam. Przynajmniej, myślałam sobie, córka moja będzie się starała osiąść przymioty i umiejętności, które ją każą kochać. Jedna choroba, jeden wypadek, mogą pozbawić piękności; cóżby jej wtedy zostało? Później, moje dziecko zrozumiesz mię lepiej.

— Nigdy nie słyszałam cię tak mówiącą, moja mamó, zadziwiasz mię. Jakto, ty się nie martwisz tem, że nie jestem ładną? Sądziłam zawsze, że kochasz mię także trochę, z powodu mej twarzyczki. To szczególnie — zawołała dziewczynka, opuszczając ręce i zdawała się namyślać, zastanawiając się nad tem po raz pierwszy w swem życiu.

— Wandziu — rzekła jej mama — czy chcesz stać się ładną?

— O bardzo chcę — odpowiedziało żywo dziecko.

— A przystaniesz na wszystkie środki, jakie ci wskażę?

— Na wszystkie mamó, na wszystkie!

— Zobaczmy, rzekła łagodnie mama. — Najprzód, czy twe małe nie mają żadnego wyrazu, możnaby powiedzieć, że są na to stworzone, aby zawsze spać. Ale bo rzeczywiście Wandzia śpi wiele; nie znajduje przyjemności w nauce, ziewa przy niej; dwadzieścia razy spogląda na zegar podczas godziny muzyki. Czy prawda?

— Tak mamó, prawda.

— A więc dnia tego, w którym polubisz naukę, czy twe nabiorą miłej żywości. Usta twe wykrzywają się, gdy ci jakie uwagi czynię; opuszczając wargi, szpecisz jedyny rys, który natura znośnym u ciebie zrobiła. Cera twej twarzy jest jak małego dziecięcia, które się omazało koniuszkiem serwetki w ciepłej wodzie zmaczanym. Włosy twe bez połysku, bo nie dasz czasu potrzebnego twej bonie, aby je uczyniła czystymi i połyskującymi. Doprawdy, czyż trzeba się dziwić, że nie jesteś ładną? Któżby mógł poszczycić się być nią pod podobnymi warunkami? No cóż Wandziu, chcesz-że jeszcze stać się ładną?

— O tak, tak mamó!

— Trzeba więc zacząć od tego, by otrząść się z tego lenistwa, nadając sobie ruch, zajęcie nieustanne. Nauczę cię, jak masz czas spędzać. Dziś Poniedziałek; zaczniemy tydzień ochoczo. Wszystko, co robić będziemy w tych ośmiu dniach, będę zapisywać i mam nadzieję, że tydzień ten posłuży za wzór dla wszystkich następnych, bo moje dziecko, życie składa się z tygodni.

— Ośm dni, moja mamó, ośm dni pracy, ach to bardzo długo; czy nie obawiasz się, żebym nie zasłabła? Ja mam tak pracować!

— Nie mam najmniejszej obawy. Przeciwnie, będę o wiele spokojniejszą o twe zdrowie; bezczynność, w której żyłaś dotąd, mogłaby stać ci się bardzo szkodliwą. Podczas, gdy będziesz ze mną, nie będziesz się męszała do zabaw swawolnych tych braci, które ci w żaden sposób nie przystoją; będziesz mniej łakomą, leniwcy zawsze są głodni: oto sposób spędzania zszasu. A więc, to już ułożone, będziesz pracowała cały tydzień, nie prawdaż?

Mała Wandzia rzuciła się w objęcia matki i czyniła tysiące obietnic. Zobaczmy, czy pozostała im wierna.

PONIEDZIAŁEK.

Rozmowa Wandzi z mamą skróciła znacznie poranek, co się nie podobało naszemu leniuszkowi. Było już południe, gdy Wandzia zasiadła do stolika w celu napisania zwykłej swej stronnicy.

Nie tylko, że nie opuszczała dwadzieścia razy swego miejsca, jak to robiła zazwyczaj, ale napisała dwie strony jednym ciągiem. Nie będę wam tego ukrywać, że kilka westchnień wymknęło się z piersi biednego dziecka; ale jakąż była jej zasługa w tej chwili, jeżeli nie zwyciężanie lenistwa.

Rozsądna matka, jaką była pani Z. umiała uprzyjemnić godziny pracy swej córce; usuwała trudności, któreby Wandzię zniechęcić mogły; wybrała do czytania najpiękniejsze ustępy ze „Starego Testamentu“, pięknymi rycinami ozdobione. Z robótką w rękę, dobra matka opowiadała córce niektóre zdarzenia z historii, upraszczając wypadki używając tylko wyrażen, zastosowanych do pojęcia dziecka, budząc wyrazem głosu i ruchami swoimi, zajęcie zupełnie nowe w duszy małej nieświadomej. Po tej nauce, nastąpiła lekcja muzyki; od roku nauka ta była zaczęta i zaniedbana jak wszystkie inne; dzisiaj Wandzia przykładała się z całą ochotą.

W ciągu dnia poszła Wandzia z mamą na przechadzkę. Podczas tej godziny, rozmawiała tylko o tem, co się uczyła. Była dumna z tego, że w kilku godzinach zrobiła więcej, niż dotąd w całym miesiącu.

— No cóż Wandziu, czyś zmęczona? jakże się masz?

— Bardzo dobrze... Czyś zadowolona ze mnie, kochana mamó?

— O tak, bez wątpienia, ale tydzień jeszcze się nie skończył. Jutro będzie dłuższe, uważaj ze na siebie; w każdej rzeczy trzeba pamiętać na zakończenie.

— O ja pamiętam o tem. Posłuchaj mię Mamó, przyznam ci się, że kiedy kazałaś mi drugą napisać stronę, o mało się nie rozplakałam... Czułam złość w sobie i powiedziałam, że moje pióro złe, aby choć chwilę nic nie robić... A potem, gdy powiedziałaś mi z taką słodyczą, bym sobie palce ogrzała, jakże się zawstydyłam mojej złej woli. Już nigdy taką nie będę.

— Widziałam to Wandziu! Widziałam w oczach twoich niecierpliwość, widziałam twój żal później; widziałam cię brzydką i ładną.

— Ach Mamó, jakaś ty dobra. Ale ja znowu nie jestem takim dzieckiem, bym u wierzyła, że jest się ładną, gdy się jest grze-

czną. To się mówi tylko mojemu małemu braciszkowi.

— Przeciwnie, widać, że jesteś jeszcze nadto dzieckiem, aby uwierzyć w tę prawdę. Co się mówi dzieciom, to myśli się o dorosłych osobach. Zadowolenie z dobrego uczynku, nadaje każdemu wyraz pokoju i ukontentowania, który podług zdania ludzi dobrego smaku i rozsądnych, jest pierwszym ze wszystkich piękności. Patrz na tego staruszka; twarz jego pociąga oczy wszystkich ku sobie. Czy to sprawia to czoło zmarszczkami poorane, czy oczy strudzone, okularami przysłonięte, czy chód jego chwiejący? On stary i złamany — dla czegoż więc podoba się wszystkim przechodniom? Dla tego moje dziecię, że dobroć jego serca, litość, wspomnienie dobrych uczynków, które czynił, nadzieja innych, które jeszcze spełni, nadają twarzy jego radość i zadowolenie. Czy nie widziałas kiedy dziewczynki ładnej, która staje się szkaradną, gdy się rozłości. Wierżaj mi, nie prawdziwszego nad to.

— A więc Mamó kochana, powiedz mi po tem wszystkim, czy ja mniej brzydką jestem dziś, niż wczoraj?

— Bez wątpienia. Właśnie jakaś pani przechodząc obok mnie, powiedziała do swego męża: „To miła dziewczynka, ma taką zadowoloną twarzyczkę“.

— Widzę moja Mamó, że w końcu tygodnia nauczę się wiele rzeczy. Jakież nie-szczęście byłoby, gdybym się zmieniła.

— Trzeba więc moja Wandziu, nie opuścić żadnego dnia bez uczynienia stałego postanowienia wytrwania w dobrem; trzeba prosić Boga z całego serca o to, żeby się poprawić.

— A ty Mamó, czy tak robisz?

— Czy wątpisz o tem? Która to matka spędzi dzień nie modląc się za swe dzieci? Czyż nie mam prosić Boga o cierpliwość do znoszenia twych błędów; o łaskę, byś się poprawiła; o łagodność w obchodzeniu się ze sługami? Każdy ma swe obowiązki na tym świecie: małe dziewczynki i matki.

— Jakże ja lubię z tobą rozmawiać, moja Mamó, będziemy tak cały tydzień rozmawiały, nieprawdaż?

Wieczorem pozwoliła pani Z. pobawić się trochę Wandzi, a potem, nie chcąc tracić owoce całodzienniej pracy, kazała jej opowiadać, co się uczyła z historii św. Lekcja ta dla małej dziewczynki nowy miała powab, i gdy ją mama uwiadomiła, że już 9ta godzina i trzeba iść spać, zapomniała się zająsać, jak to zwykle robiła, tak jej ten dzień miło i szybko upłynął.

Czas jest tak krótki, gdy się jest pilną i grzeczną!

W T O R E K.

Zaledwie Wandzia oczy otworzyła, pomyślała sobie o dniu, który się rozpoczynał, a który trzeba było dobrze spędzić. Wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota i niedziela, mówiła sobie, rachując na palcach, sześć dni! a ponieważ mama mówiła, że życie składa się z tygodni, to znaczy, moja Wandziu, że trzeba będzie pracować całe życie. Są osoby, które mówią, że to przyjemnie. Tak, pewnie, gdy się umie wszystko, ale ja, która tak słabo czytam i tak źle jeszcze piszę. Ach, jakżebym pragnęła mieć już 15 lat. Tak ubierając się, Wandzia rozmawiała sama z sobą.

O godzinie ósmej weszła do pokoju mamy; twarzyczka jej jaśniała dobrymi chęciami, ponowiła swe obietnice i zabierała się do nauki, kiedy weszła pokojowa, przynosząc jej bilecik od przyjaciółki i mówiąc, że posłaniec czeka na odpowiedź.

— Jaki ładny liścik, Mamo, patrz, papier złożony, bukietek kwiatów, to śliczne, czytaj mameczko!

— Nie Wandziu, nie chcę cię pozbawiać tej przyjemności, czytaj sama.

Wandzia zarumieniła się i cofnęła ku oknu; oczy jej patrzyły nieruchomie i napęły się łzami.

— Co ci to, moje dziecko? zła wiadomość jaka, od kogóż ten list.

— Od Maryni, czytaj Mamo...

Pani Z. przeczytała.

— To bardzo dobrze, odpisz, że ci pozdrawiam.

Wandzia stała nieporuszona.

— Spiesz-że się, trzeba odpisać.

Zapewne odgadłyście dziatki kochane, powód zakłopotania Wandzi..., biedaczka nie mogła przeczytać listu, zaledwie podpis przyjaciółki odgadła.

Zawstydzona i zmartwiona, rzuciła się w objęcia matki i wyznała, że ani słowa przeczytać nie mogła.

Pani Z. wzięła więc list i czytała:

„Moja droga Wandziu!

Nie jest to wprawdzie dzisiaj dzień wolny, spodziewam się jednak, że Mama Twoja pozwoli Ci przybyć do nas. Są to imieniny Taty, będziemy się dobrze bawiły. Już dawno Cię nie widziałam i zapewne sądzisz, że zubożętniała teraz dla Ciebie, ale zaraz się wytłumaczę: Cały ten czas byłem bardzo zajęta, pragnąc ojcu zrobić niespodziankę. Wyhaftowałam mu włóczkami szelki, uczyłam się powinszowania, które napisałam nareszcie.

Sądz o mej radości! Nie mogę już doczekać się wieczora, żeby Ci to wszystko pokazać.

Do widzenia kochana Wandziu, a przywieź z sobą lalkę i gałganki; gdy się nabiegamy do woli, będziemy żyły.

Do zobaczenia, ściskam Cię. — Obiad będzie o 4ej.

Twoja przyjaciółka

Marya.“

~ ~ ~ A N D Z I A ~ ~ ~

Andzia przed lustrem siedziała,
Do siebie się uśmiechała —
I wdzięcznie ząbki szczyrzyła,
Bo w istocie piękną była.
Nagle... czy to, że spaczona
Rama, czy z innej przyczyny,
Dość — że lustro w pręgi trzaska!
A panienka zadziwiona
Widzi, że z pięknej dziewczyny,
Niefortunna losu łaska

Jakieś monstrum wytworzyła:
Twarz jej szpetna, wydłużona,
Jedno oko —
Gdzieś wysoko;
Usta, nos, a la rococo!
Słowem: znikła wdzięków siła!
Więc, brzydotą przerażona
Dłońmi liczko swe zakryła —
I ze wstrętem — rozżalona
Od lusterka odskoczyła.

Tak człowiek, gdy wewnątrz skazi,
I sumienie własne zgłuszy —
Razem z Andzią się przerazi,
Gdy spojrzy w zwierciadło duszy!

Bronisław Rola.

W Ł A D Y Ś.

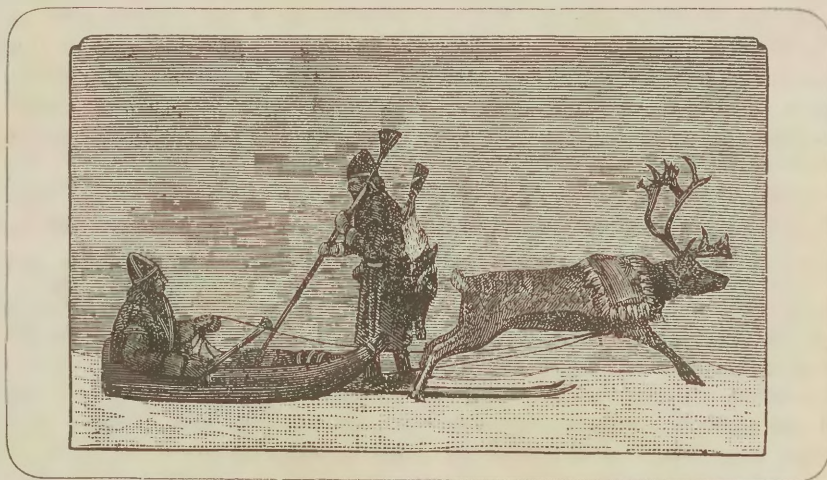
Władysław siedział pewnego dnia w pokoju matki, bawiąc się z pięknym psem, którego niezmiernie lubił, gdy wszedł stary ogrodnik Walenty.

— Proszę pani — mówił do matki Władysław — okrutny mam kłopot z tym Jakóbkiem, co to go pani kazała wziąć do dworu i uczyć ogrodnictwa. Chłopak leniwy, kłopotliwy, łakomy, a do tego jeszcze i kłamca. Dziś zastawiłem go do pielienia grządek obok brzoskwińskiego szpaleru, sam odszedłem na chwilę; powracam, a ten nicpoń wyraźnie coś chowa po kieszeniach i spogląda na mnie z podębą; robota nietknięta. Jak nie huknę na niego z góry: a ja ci tu łotrze wszystkie kości połamię, jeżeliś znów co zbroił! a ten w lament: bo to pan Walenty zawsze coś do mnie upatrza, ja na krok od grządek się nie

ramionami; ale wyszedł natychmiast spełnić rozkaz pani.

— Moja Mamo — odezwał się wówczas Władysław, który wysłuchiwał tej rozmowy — ja nie rozumiem doprawdy, dla czego Mama zawsze broni tego brzydkiego Jakóbka, kiedy Walenty już tyle razy skarżył się na niego i opowiadał, jaki on jest leniwy, nieposłuszny, jak często kłamie i gorsze jeszcze rzeczy robi. Ja jestem daleko młodszy od Jakóbka, a cóżby Mama powiedziała, żebym był podobny do niego? Toż Mama strofuje mię nieraz surowo za złe daleko przewinienia, a jemu to ma być wszystko wolno.

— Mylisz się mój synu; jemu także nie wszystko wolno, ale nie mogę od niego wymagać tyle, co od ciebie, zaraz ci to wytłomaczę.



PODRÓŻ W RENIFERA.

ruszyłem, a co bym miał zbroić. Ale mnie, jakby coś tknęło; chwyciłem go za obie ręce i do kieszeni, a tam aż cztery ogromne brzoskwinie, z tych, które chowałem dla państwa od herbaty. A to zgroza, proszę pani; to nic dobrego, z głodu na wsi ginęło, a teraz zachciewa mu się łakoci, a pracować ani rusz. Ja bo od razu mówiłem, że z niego nic nie będzie, że to tylko napędzić i kwita.

— Poczekaście, mój Walenty — rzekła matka Władysław, nie wypędzimy jeszcze Jakóbka; ja mam nadzieję, że on się z czasem poprawi, tylko nie trzeba się z nim zbyt srogo obchodzić, już nieraz prosiłam was o to. A teraz idźcie, mój Walenty i przyślijcie mi tu tego chłopaka, ja sama z nim chcę pomówić.

— Czy on wart tego, żeby się pani sama trudziła — mruczał stary sługa, ruszając

Matka chciała mówić dalej, lecz w tej chwili drzwi się uchyliły i przy progu stanął Jakóbek z głową spuszczoną, mnąc czapkę w rękę i niespokojnie przestępując z jednej nogi na drugą.

— Jakóbku — powiedziała matka Władysław, przybliż się moje dziecko i odpowiadaj śmiało. Wszak wczoraj dałam ci sama różnych owoców, wiedziałeś, że i dziś dostaniesz, jeżeli się dobrze będziesz sprawował, pocóż więc pokrywom brałeś brzoskwinie?

— Bo, proszę pani, szeptał Jakóbek, obracając wciąż czapkę na wszystkie strony, — ja myślałem, że pan Walenty nie zobaczę i łajać nie będą.

— A czy zapomniałeś o tem, że Bóg, który wszystko widzi, nieposłuszeństwo twoje zobaczy? Lękasz się gniewu Walentego, ale więcej jeszcze powinienes się lękać obrazić

Boga. Cóż tak patrzysz, jak gdybyś nie rozumiał; czyż ci nikt o tem nie mówił, że Bóg widzi wszystkie czynności twoje i nawet najskrytsze myśli przenika?

— A nikt, proszę pani — rzekł chłopak.

— A gdy brzoskwinie zrywałeś i ukrywałeś je w kieszeni, czy ci się nie zdawało, że głos jakiś wewnętrzny ostrzegał cię, jakby ktoś szeptał ci do ucha: źle robisz, nie rób tego.

Jakóbek pomyślał trochę.

— A niby to tak — powiedział, ale to pewnie ze strachu, żeby pan Walenty nie zobaczyli.

Tu matka Władysia zaczęła tłumaczyć chłopakowi, co to jest sumienie, ów głos dany nam od Boga, żebyśmy umieli rozróżnić złe od dobrego; mówiła mu także o obecności Boga, o dobroci jego, ale my tego powtarzać nie będziemy, bo wszystkie dzieci, które czytają Wieczory Rodzinne, pewnie nieraz o tem słyszały od swoich rodziców i nauczycieli. Gdy odszedł Jakóbek do swojej roboty, matka zapytała Władysia:

— Czy rozumiesz teraz, dla czego od tego biednego chłopca nie mogę wymagać tyle, co od ciebie? On był małym dzieckiem, gdy go rodzice odumarli i odtąd ciągle tułał się u obcych ludzi, także ubogich; ci go pędzili do ciężkiej pracy, ale nie mieli czasu się z nim zajmować, ani rozmawiać z nim o Bogu, o cnocie i obowiązkach człowieka; może zresztą i sami nie bardzo dobrze to wszystko rozumieli. Zupełnie inaczej było z tobą; zaledwie mówić i pojmować zaczynałeś, a już rodzice wszelkimi sposobami nakłaniali cię do dobrego, czuwali nad każdym twoim postępkiem, kierowali każdym krokiem. Dla Jakóbka powinniśmy mieć litość i pobłażanie; od niego i Pan Bóg mniej wymaga, bo powiedziano jest w Piśmie świętem: *Od każdego, któremu więcej dano, więcej żądać będą.* Widzisz więc Władysiu, że im więcej kto dobrodziejstw otrzymał od Boga, tem większe zaciągnął obowiązki. Pan Bóg niczego od nas nie po-

trzebuje, ale Chrystus powiedział: *co uczynicie jednemu z braci moich najmniejszych, mnie uczynicie.* Otóż teraz, kiedy ten biedny Jakóbek dostał się do nas, powinniśmy przede wszystkim starać się go oświecać, bo nie możemy inaczej spłacić długu, zaciągniętego u Boga, tylko czyniąc dobrze tym bliźnim naszym, którzy mniej od nas otrzymali.

Władys słuchał z uwagą, potem milczał przez chwilę, namysławiając się nad tem, co usłyszał, wreszcie odezwał się w te słowa:

— Moja mamó ja wiem, że Jakóbek nie umie czytać. Jabym go mógł nauczyć, gdyby Mama pozwoliła, a wtedy dawałbym mu do czytania różne książeczki, tłumaczyłbym mu nauczki, które mama mnie tłumaczyła, a żeby łatwiej zrozumiał, jak to źle być leniwym, nieposłusznym i kłamcą. Wszak to mój obowiązek, nieprawdaż mamó, kiedy on taki biedny, że nie mógł się nauczyć tyle co ja, chociaż jest starszy odemnie?

— Zapewne — odrzekła matka — dziś jeszcze nie wiele umiesz i nie wiele dobrego uczynić możesz, ale jak nawykiesz za młodu, w miarę możności, stawać się pożytecznym biedniejszemu od siebie bliźnim, i później o tem pamiętać będziesz. Od jutra każe, żeby Jakóbek tu codziennie na godzinę przychodził, jak ty lekcye swoje pokończysz i będziesz go uczył przy mnie, ja ci w tem chętnie dopomogę.

Tak się też stało. Jakóbek, leniwy do roboty w ogrodzie, do czytania przeciwnie wielką miał ochotę i spieszył do lekcyi, jak do najmilszej zabawy. Uczył się przytem katechizmu, Pisma świętego i z największą rozkoszą słuchał, gdy Władys czytywał głośno różne moralne powiastki. Stary Walenty z początku na to głową kręcił, ale wkrótce sam przyznał, że się chłopiec znacznie poprawił, od kiedy zaczął chodzić na naukę do panicza. Z czasem Jakóbek poprawił się zupełnie, a Władys mógł sobie powiedzieć z niewymowną pociechą, że i on w części się do tego przyczynił.

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKÓW FRANCISZKA KARPÍŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Po zbadaniu tej sprawy, kazał najprzód mój ojciec, abym upadł do nóg wieśniakowi i przeprosił go, że go tą moją kradzieżą zmartwił, rozumiałem, że się już na tem mojem upokorzeniu skończyło, ale kazano przynieść różgę, surowo ojciec temuż samemu zmłockowi kazał mi 10 różg wyliczyć, nad

którym stał z laską, a żeby w biciu mnie nie folgował, wziął potem sam różgę i za wstyd swój (jak powiadał) jeszcze mi 10 różg swoją ręką przyczynił, a po skończeniu rękę sobie, która karała, całować kazał.

O święta ręko ojca mojego! (choć i cie już nie masz od tak dawnego czasu) jeszcze

ja cię i teraz w myśli mojej całuję... Tem to ja surowem ukaraniem wziętem wstręt największy w dalszem życiu mojem co jest cudzego tykać, karałeś ojciec i każdy upór i każde łgarstwo surowo, a że pierwsze z dziecięciem obchodzenie się, największe w niem czyni wrażenie, o jakże często wyszedłszy na świat, przypominały mi się nakazy twoje! W roku moim ósmym już umiającego czytać i trochę pisać, oddał ojciec do pobliskich szkół Stanisławowskich, gdzie dobrze starszy odemnie brat mój Antoni już od lat kilku uczył się, ażeby i ja do szkoły przywykał; było to odwiezienie moje w porze zimowej, i kiedy ojciec po obiedzie mnie zostawując do domu odjeżdżał, ja uprzedzony, bojąc się nad wszystko szkoły, za wrotami stancyi gdy nikogo za saniami nie było, przysiadłem cicho z tyłu i dopiero w pół drogi odkasznieniem wydałem się, tak zaraz nazad do Stanisławowa zawróciliśmy i kilkanaście różg danych mi przez ojca na zadatek dalszego rozumu interes ten zakończyło.

Może po roku bawienia mego w szkołach był sławny w Stanisławowie pogrzeb Józefa Potockiego, hetmana W. kor. Pierwszy raz wtenczas widziałem świat (jak nazywają) wielki; i prawdziwie podobnej ludności to miasto przedtem i potem nie widziało, i widzieć nie będzie. Kilkadziesiąt senatorów, między którymi kilku biskupów, cóż dopiero sam dom Potockich, w tylu gałęziach między najświetniejszymi natenczas, cóż dopiero wojsko pozgromadzone, które w tamtym wieku na koronacyach tylko królów, albo cudownych obrazów i na pogrzebach dowodziły, cóż dopiero niepoliczone obywatelów mnóstwo, z dalekich nawet województw dla ciekawości zgromadzone, tłumem wszystkie domy i ulice napełniło. Ojciec mój mieszkał w tenczas w Stanisławowie i mogłem na tym pogrzebie widzieć wszystko, z czego po części już się nawet zgorszyć umiałem. Kościół cały adamaszkim od wysokich grzysów aż do dołu wybity, gęsto lampami oliwnymi oświecony, miał ogromny w środku katafalk, aksamitem pąsowym, ze złotemi frędzlami, światłem, portretem, herbami, znakami władzy po wezgłowiach położonemi przyozdobiony, od drzwi kościelnych aż do katafalku na kroków kilkadziesiąt posadzka z tarcic umyślnie dana, ażeby bohaterowie wojskowi na koniach wpadając, łoskotu więcej czynili. Jużem miał tyle poznania, że przed ojcem żałowałem się na krzywdę Bożą, kiedy dla człowieka, hetmana, z domu Bożego stajnię zrobiono. Wjeżdżali w największym końskim biegu wybrani rycerze po jednym, i ten z nich kruszył kopią przy herbie będącym u nóg trumny hetmańskiej, inny łamał szpadę, inszy

rzucał pałasz, inszy strzały, inszy chorągiew, inszy buńczuk, inszy sztandar i t. d. Każdy zaś złamawszy swoje narzędzie, przy nogach trumny, spadał z konia, niby żał po hetmanie swoim udając, a dwom z tych bohaterów nie udało się wyrzucić skruszenia chorągwi i sztandaru, bo świece na katafalku porzucali, ale udał się lepiej niby żał i spadnienie z koni, bo byli dobrze pijanymi. — Blisko dwóch niedziel odbywała się ta uroczystość trupowa, a może do ćwierci roku niektórzy goście, przyjmowani przez syna zmarłego hetmana, bawili w Stanisławowie.

Pierwsza, którą w tych czasach widziałem egzekucją kryminalisty w Stanisławowie, wielkie na mnie uczyniła wrażenie; był to rozbójnik nazwiskiem Bajurak, który na plac śmierci idąc, kazał sobie podać fujarę, czyli ulubioną piszczałkę góralską, na której smutne dумы góralskie przygrywał. Ojciec mój umyślnie na tę egzekucję za rękę mnie prowadziwszy, stanął za mną tak blisko, ażeby widział ścięcie zbrodniarza, które gdy się dopełniło, tak do mnie widokiem tym pomieszanego rzecze: „Moje dziecię, Bajurak zapewne zaczął od kradzieży małych rzeczy i może tak jak ty w dzieciństwie, nożyk u kogo ukradł, co że mu wcześniej nie zganiono, postąpił do rzeczy większych, a że ludzie zwyczajnie po domach strzegą się od złodzieja, widząc że tą drogą żyjąc między ubogimi nie tak łatwo z bogactwem się potrafi, puścił się na rozbój, który prędzej spanoszyć może, moje dziecię! złe każde jest jak mała gadzina, której jad z czasem o śmierć przyprowadzi“.

Już byłem w szkole w gramatyce, kiedy na wakacje przyjechaliśmy do domu; brat mój starszy będąc rektorem, a mający skłonność do stanu duchownego (co potem ziścił) w blizkiej izdebce kazania przy rodzicach miewał, kiedy raz żartując ojciec zapytał mnie, czyli też i ja mógłbym powiedzieć kazanie, z ochotą wstąpiłem zaraz na miejsce które się niby amboną nazywało, gadałem może z pół godziny, same słowa nie mające związku żadnego, tak ręką w stolik przed sobą bijąc, tak gięsta wszystkie kaznodziejskie udając, jak się napatrzyłem na kazaniach w Stanisławowie, ale co ojca najwięcej zabawiło, że w tym słów niezwiązanym natłoku nigdy się nie zastanowił; zyskałem od rodziców daleko więcej za moje kazanie jak brat starszy, bo on tylko zimne pochwały a ja rodzynki i gruszki odebrałem. Dzieckiem będąc w szkołach już ja ciebie, słodka przyjaźni poznałem. Do 400 studentów było w Stanisławowie, czemuż ja do dwóch tylko, Sosnowskiego i Malickiego, tak jak oni do mnie przyłączyłem? trzeba wyznać że prócz

szacunku wspólnego, który najgruntowniej wszystkie przyjaźni ludzkie umacnia, a na którym na ten czas małośmy się podobno znali, jest coś w wieku, twarzy, sposobach obchodzenia się i myślenia podobnego, co przyjaciół łączyć zwykło. Z Sosnowskim, który był w niższej szkole odemnie, do takiej przyjaźni przyszło, żeśmy nie tylko sobie w kościele przysięgli, że się do śmierci kochać będziemy, ale nawet kartkę małą z podpisami nas obudwóch napisaliśmy, w której prócz poprzysiężenia przyjaźni była obietnica wspólna, że któryby z nas pierwsi umarł: ten drugiemu ma się po śmierci (jak na ten czas wierzone było) pokazać i o stanie swoim na tamtym świecie powiedzieć, co żeby tem mocniejsze było, kartkę napisaną pod obrus ołtarza w miejscu, gdzie ksiądz konsekruje położyliśmy, do mszy księdzu obadwaj służyli, i dla utwierdzenia większego tych naszych układów, na te same mszy obadwaj komunikowali. W pół roku potem pojechawszy na święta do rodziców, mój przyjaciel Sosnowski umarł, przyprowadzono ciało jego do Stanisławowa i w grobie kolegiaty tamtejszej pochowano. Okna domu, w którym ja mieszkałem, były obrócone na kraty grobów kolegiaty. Cóż tam było bojaźni, ażeby do mnie mój Sosnowski według mi danego przyrzeczenia nie przyszedł, jak długo bezsenne nocy w strachu trawione,

póki wypowiadawszy się i komunią świętą przyjąwszy, śmiały potem, w nocy nawet ku kracie grobowej szedłem i ducha przyjaciela nadaremnie wywoływałem, bo mi się nigdy nie pokazał; tak usłużna i drobnym dzieciom religia, spokojnemi ich i szczęśliwemi czyni.

I z drugim przyjacielem Malickim raz przyjaźń mało mi na złe nie wyszła. Starsze klasy, jako to: Poetowie, Rotorowie i Filozofowie w ławkach siadywali, a młodsze przed ławkami modliły się. W dzień jakiś świąteczny stojąc obok z przyjacielem moim Malickim podczas kazania śmieliśmy się i łokciami, żartując z drugich, potrącałi. Ojciec mój niespodziewanie dla mnie przybywszy na nabożeństwo, widział z ławek nieprzystojną w kościele swawolę moją, i zaszedłszy po za ławki, z tyłu stanąwszy za mną, ciężki mi wyciął policzek przydawszy głośno: „złego i w kościele biją“, a potem poszedł do swojej ławki i spokojnie kazania słuchał; prawda z strony ojca, a wstyd z mojej strony, przypominały mi na potem skromność w kościele.

(Dokończenie nastąpi.)

ZAGADKA.

Jaka to rzeka w Polsce, nazwę bierze
Taką, jaką ma pewne znane zwierze?

ROZWIĄZANIE SZARADY Z Nr. 21.

Rak — lak — tak.

OGŁOSZENIA.

MUZEUM IMIENIA DZIEDUSZYCKICH

jest otwarte dla Publiczności
każdej Środy i Soboty:
od godz. 11 rano do godz. 6 po połud.
każdej Niedzieli i w Święta:
od godz. 10 rano do godz. 1 po połud.

Profesorowie z uczniami chcący korzystać ze zbiorów, tudzież osoby mające zamiar pracować w Muzeum lub przejeżdżający, zechcą się zgłosić do kustosa p. Władysława Zontaka, na dole, codziennie od godz. 10 do 12 z wyjątkiem Poniedziałków, w które Muzeum z powodu czyszczenia i porządkowania dla każdego jest zamknięte.

Na teraz są otwarte dla Publiczności: dział zoologiczny i botaniczny, to jest pierwsze piętro.
Dzieci niżej lat 10 bez towarzystwa starszych nie będą wpuszczone.

KATALOG — część pierwsza, PTAKI
jest do nabycia u dozorcę po 1 zł. za egzempl.

DZIECI I PTASZKI, 12 obrazków z małego świata.

SKREŚLIŁ
WŁADYSŁAW BĘŁZA.

Pod powyższym tytułem, wyszła świeżo z druku książeczka, ozdobiona 6ma obrazkami i zalecona przez Radę szkolną krajową, a przeznaczona dla dzieci od lat 6ciu do 9ciu. — „Dzieci i ptaszki“ nabyć można w każdej księgarni, po cenie 36 ct. za egzemplarz. Z przesyłką pocztową 46 ct.

Treść Nr. 22. Tydzień grzecznej dziewczynki, (z francuskiego). — Andzia, (wiersz Br. Rola. — Władysław). — Podróż w Renifera, (rycina). — Wyjętek z pamięt. Francisz. Karpińskiego. — Zagadka. — Ogłoszenia.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: Wł. Bęłza.

Z I. Związkowej drukarni, Hotel Żorża.